

## NO, WE CAN'T!

**Moja mama nie ma konta na Facebooku. Babcia, pojęcie Twitter skojarzy co najwyżej z jakimś modnym dodatkiem, w który Trinny i Susannah ubierają Polskę. Sporą część młodych ludzi bardziej absorbuje dołączanie do coraz to głębszych grup na platformie Zuckerberga, niż artykuły publikowane przez poważne serwisy. Internet w naszym kraju w dalszym ciągu kojarzony jest raczej z rozrywką, niż z elementem politycznej propagandy, a jego znaczenie w stosunku do innych mediów, z telewizją na czele, jest zaniżane.**

A to właśnie perfekcyjna internetowa kampania wyborcza zapewniła Barackowi Obamie przynajmniej czteroletni nocleg w Białym Domu. Tak jak przed kilkudziesięcioma laty John F. Kennedy wiedział, jak wykorzystać potencjał telewizji, tak teraz Barack Obama wraz ze sztabem doszli do wniosku, że w kraju, gdzie iPad i smartfony BlackBerry biją rekordy popularności, to na platformach internetowych rozstrzygnie się batalia o prezydenturę. Demokraci wywalczyli tam oczywistą przewagę, a ich kandydat – najważniejszą funkcję w kraju. Polska, jakkolwiek źle to zabrzmie, na tle Stanów Zjednoczonych jest bardzo zacofana. Nie jesteśmy gotowi na unowocześnienie marketingu politycznego, o czym dobitnie świadczy fakt Prawa i Sprawiedliwości – partii paradoksalnie najaktywniejszej w Internecie, a której sondaże nie dają większych szans na zwycięstwo. Sytuacja może nieznacznie ulec zmianie po tegorocznych wyborach parlamentarnych, podczas których kampania siłą rzeczy przeniesie się do sieci, jednak proces ten potrwa zapewne jakiś czas. Nie żyjemy w kraju, w którym Mark Zuckerberg stał się dobrem narodowym. Żyjemy w kraju, w którym nasza klasa, skądinąd dający dużo radości portal społecznościowy, stał się miejscem, gdzie liczy się już tylko liczba znajomych i wynik w durnych gierkach.

Ale sama kampania wyborcza, to przecież nie wszystko, wszak trzeba mieć dobry „produkt”. Nad Barackiem Obamą zapewne nie trzeba było wiele pracować. Ot kosmetyczne zmiany, które w uzupełnieniu o charyzmę Obamy, stworzyły mieszkankę iście wybuchową. Przepraszam, mieszkankę iście amerykańską. Obecny prezydent USA, to polityk nowoczesny, wykształcony, wie jak korzystać z iPod'a, ma piękną żonę, słucha Willa I. Am. A co najważniejsze – ucieleśnia „american dream”, czyli coś na punkcie czego mieszkańcy Stanów są, przepraszam za określenie, wręcz zбочeni. W Polsce zalety Obamy nie byłyby tak oczywiste. Kogo obchodzi jakiej muzyki słucha prezydent? No właśnie, czy ktoś potrafi wymienić kilka ulubionych zespołów Bronisława Komorowskiego? Czy fakt, że dany kandydat ma płytę akurat tego wokalisty, a nie innego ma jakieś znaczenie? W USA prezentacja dziesięciu utworów, które kandydaci na prezydenta mają w swoich przenośnych odtwarzaczach, przyćmiła debatę o najważniejszych problemach. Już sobie wyobrażam podobną sytuację w naszym kraju... Niestety czasy, kiedy polska muzyka faktycznie wyznaczała kierunki myślowe, minęły bezpowrotnie. No chyba, że kogoś interesuje co się dzieje, gdy „jest już ciemno”, to przepraszam. Może i piszę banały, ale wystarczy przypomnieć sobie wywiad z Donaldem Tuskiem, opublikowany na krótko przed wyborami prezydenckimi w 2005 roku, w którym kandydat Platformy wypowiada się o swoich gustach muzycznych i filmowych. Nie przypominacie sobie? No właśnie...

Również celebryci lgnęli do Obamy. Nie od wczoraj wiadomo, że ludzie sławni bardziej preferują Demokratów, jednak pamiętne „Yes, we can” powtarzało znacznie więcej wszelakiej maści artystów,

niż hasło wyborcze któregokolwiek z poprzednich kandydatów na prezydenta. W Polsce nie mamy Oprah Winfrey, której ludzie traktują jak bóstwo, za którą skoczyli by w ogień. Owszem i w naszym kraju dany aktor poprze tego, inny tamtego, jeden dziennikarz z kogoś zakpi, ale nie przybiera to formy tak bardzo opiniotwórczej, jak sami autorzy poparcia by chcieli. Sam jestem fanem Kuby Wojewódzkiego, ale jego poglądów nie podzielam. Nie przeszkadza mi to jednak w oglądaniu jego programu, nie czuję wyrzutów sumienia, gdy skreślę krzyżyk przy innej partii, niż Wojewódzki.

Ale Obama, to polityk nowej ery nie tylko dlatego, że ma dobre kontakty ze sławami, nie tylko dlatego, że wie co w nowinkach technologicznych piszczy. Obama jest młody, świetnie dobiera garnitury, jest przystojny, a na oficjalnych spotkaniach zachowuje klasę, nie tracąc nic ze swojego naturalnego luzu. Taki też był Kennedy, prezydent może nie wybitny, ale na pewno szanowany przez Amerykanów. Obywatele Stanów Zjednoczonych udowodnili samym sobie, że są w stanie przełamać pewne bariery, że nie potrzebują już polityków, którzy do pełnienia najważniejszych funkcji w kraju uczeni są od małego: od ojców, dziadków i tak dalej i tak dalej. Wielu podkreśla fundamentalne znaczenie koloru skóry – owszem jest to ważne, gdyż jeszcze jakiś czas temu Murzyn nie mógł usiąść w autobusie obok „Białego”, ale przyjęło to formę wręcz obsesyjną. Polacy, niestety do takiego przełamywania barier jeszcze nie dorośli. Niestety albo „stety” – kwestia indywidualna.

Polską wersją Baracka Obamy jest oczywiście Radosław Sikorski. Choć, jak to w wypadku podródek, mniej doskonałą, ale i tak wprowadzającą nową jakość w rodzimą politykę. O tym jak bardzo nasz kraj nie dojrzał jeszcze do „takiego” prezydenta niech świadczą prawyborcy w Platformie Obywatelskiej, czyli w partii wydawać by się mogło skupiającej najlepiej wykształconych, a zarazem najmłodszych działaczy. Tacy ludzie powinni identyfikować się z Sikorskim, rozumieć wręcz bez słów. Tymczasem Bronisław Komorowski w głosowaniu członków PO wygrał bez żadnego „ale”. Polacy potwierdzili tym samym, że bardziej cenią sobie polityków doświadczonych, zakorzenionych w polską historię, takich trochę „dobrych tatusiów”. Oczywiście nie umniejszam wykształcenia pana prezydenta, choć ten dał mi już ku temu sporo powodów, jednak to właśnie tacy ludzie jak Sikorski - świeżsi, znający języki, bardziej otwarci na popkulturę, są tą nową jakością, którą w Stanach Zjednoczonych reprezentuje Barack Obama. Nie dzielę także Polski na Polaków i nie-Polaków podając za przykład działaczy właśnie Platformy, ale skoro nie oni wybrali Sikorskiego, to kto? PiS? PSL? Być może SLD, ale przecież Grzegorz Napieralski, polityk również młody, choć mam wrażenie znacznie mniej charyzmatyczny, niż Sikorski, przegrał zarówno z Komorowskim jak i Kaczyńskim. Przegrał oczywiście z procentowego punktu widzenia, gdyż sam Napieralski powtarzał, że jego wynik, to absolutne zwycięstwo.

Inną kwestią jest, że polski ustrój, w którym rola prezydenta jest ograniczona, nie potrzebuje walczących jednostek, nieskorych do kompromisów i realizujących swą własną politykę. Obama, siedzący przy świetle osławionego żyrandola, wetujący co jakiś czas pewne ustawy oraz spotykający się z przedstawicielami służb zbrojnych, nie byłby tym samym Obamą - podróżującym po świecie, osobiście zaangażowanym w ważne, jego zdaniem, reformy.

Obama w Stanach miał łatwiej. Tam popkultura pełni wciąż niesamowicie istotną funkcję, Polska to kraj, gdzie liczba tematów tabu jest dość duża. W pewnym sensie, na tę nową politycznie jakość, o której wspominałem wcześniej, Amerykanie byli przygotowani. Wspomnijmy chociażby film o homoseksualnej miłości dwóch kowbojów, czyli „Tajemnica Brobeckack Mountain”. Obraz Anga Lee otrzymał trzy Oscary, a przecież Amerykańska Akademia Filmowa, to raczej poprawna politycznie instytucja. Czy ktoś wyobrażał sobie, jak podobny tematycznie film wyglądałby w Polsce? Historia

dwóch gejów-stoczniovców, bohaterów „Solidarności”. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyłożyłby na taki film ani złotówki, tak bardzo jesteśmy przywiązani do swojej historii. Owszem, Amerykanie także, może nawet i bardziej, ale swoją przeszłość potrafią przenieść na nowy grunt, potrafią pojęcie tożsamości historycznej wytłumaczyć w nowoczesny sposób, czego przykładem jest właśnie Obama.

Nie wróżę Barackowi sukcesu w naszych wyborach prezydenckich. Stany Zjednoczone Ameryki już zamknęły pewien rozdział, ewoluowały. W Polsce kolejne strony są dopiero zapisywane. Zwycięstwo Baracka Obamy w naszym kraju jest jak próba dotknięcia gwiazdy. Ale przecież gwiazdy czasem spadają...